

BIBLIOTEKA PRASOWA POLSKA Nr. 5

ERNEST ŁUNIŃSKI

O PRASIE PROWINCJONALNEJ

ODBITKA ZE SPRAWOZDANIA ZJAZDU
PRASY PROWINCJONALNEJ W WARSZAWIE
W DNIU 11 GRUDNIA 1927 R.

WARSZAWA

Nakładem Towarzystwa Popierania Wyższej Szkoły Dziennikarskiej

SKŁAD GŁÓWNY: „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ”

1929 [1928]

OTĘKA UNIW. W POZNANIU

II

103061

RASOWA POLSKA Nr. 5

ERNEST ŁUNIŃSKI

O PRASIE PROWINCJONALNEJ

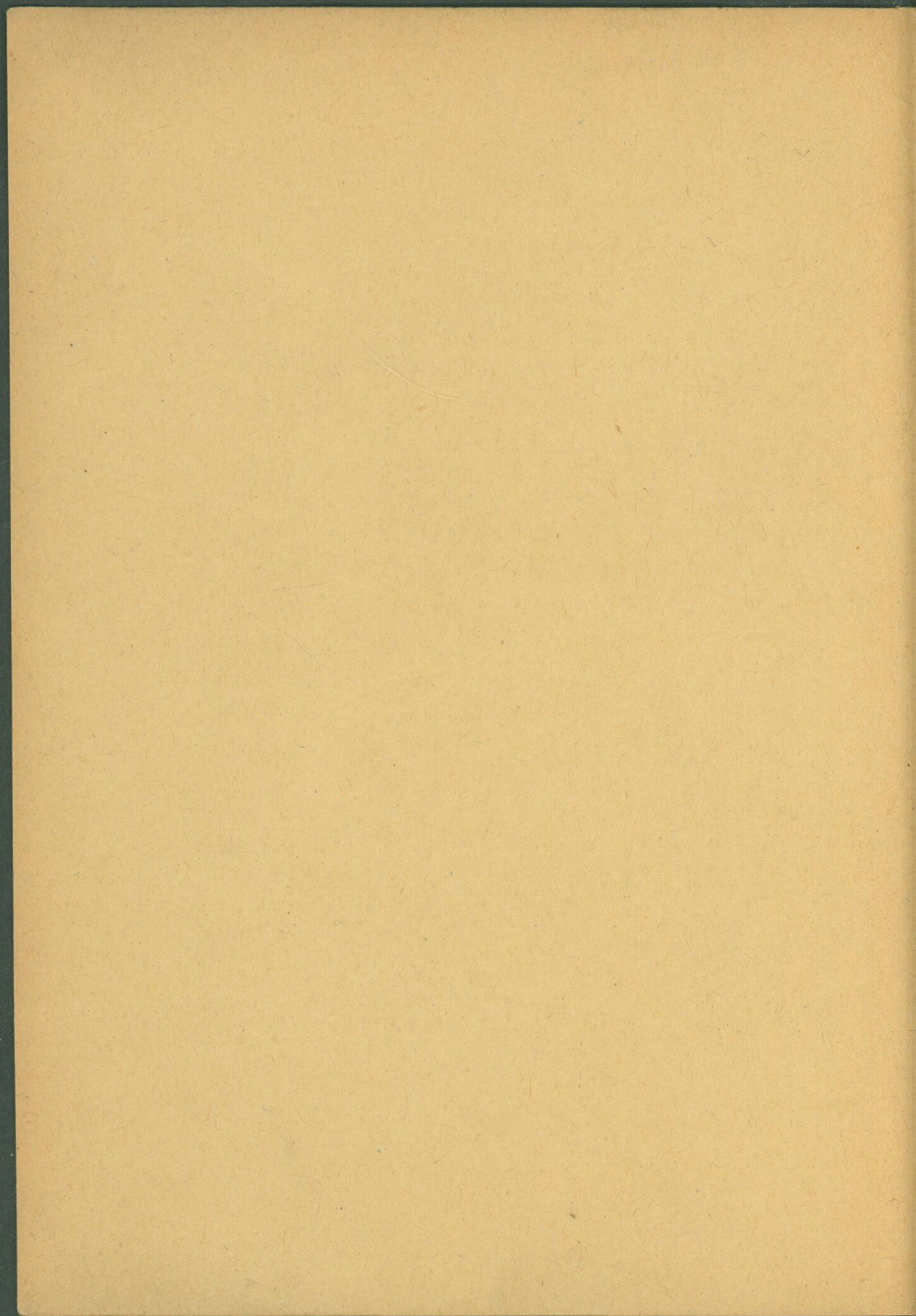
ODBITKA ZE SPRAWOZDANIA ZJAZDU
PRASY PROWINCJONALNEJ W WARSZAWIE
W DNIU 11 GRUDNIA 1927 R.

WARSZAWA

Nakładem Towarzystwa Popierania Wyższej Szkoły Dziennikarskiej

SKŁAD GŁÓWNY: „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ”

1929



BIBLIOTEKA PRASOWA POLSKA N. 3

FRANCISZK LUBIŃSKI

O PRASIE PROWINCJONALNEJ

O PRASIE PROWINCJONALNEJ

2/539

ZAKŁADY GRAFICZNE
„NASZA DRUKARNIA”
WARSZAWA, SIENNA 15.

BIBLIOTEKA PRASOWA POLSKA Nr. 5

ERNEST ŁUNIŃSKI

O PRASIE PROWINCJONALNEJ

ODBITKA ZE SPRAWOZDANIA ZJAZDU
PRASY PROWINCJONALNEJ W WARSZAWIE
W DNIU 11 GRUDNIA 1927 R.

WARSZAWA

Nakładem Towarzystwa Popierania Wyższej Szkoły Dziennikarskiej

SKŁAD GŁÓWNY: „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ”

1929 [1928.]

Ogłoszona obecnie rozprawa jest referatem, wygłoszonym na zjeździe prasy prowincjonalnej 11 grudnia 1927 r. W druku ukazuje się z bardzo nieznacznym rozszerzeniem. Właściwy tytuł referatu brzmiał: „Rola prasy prowincjonalnej w podnoszeniu życia umysłowego i społecznego prowincji”.

AUTOR.

103 061.4



1928.6184

Przy omawianiu stosunków w prasie prowincjonalnej zapomina się często, że jeszcze niedawno wchodziliśmy w obręb trzech państwowości i wbrew woli, wbrew uczuciom, musieliśmy układać życie i naginać je do zakazów i nakazów zaborczych. Stąd odrębności i odmienność patrzenia na świat. W części austriackiej rozwinęło się dziennikarstwo najswobodniej, gromadziło wokół siebie ludzi „radą znamienitych”, wyrażając się słowami bulli erekcyjnej wszechnicy Jagiellońskiej. Tam, Dobrzański, Kłobukowski, Szukiewicz, Koźmian, Romanowicz, Asnyk, Rutowski i Szczepanowski, wytworzyli skrzące kuźnie myśli narodowej, zwarte pracownie polityczne. Również w Poznaniu mieliśmy chwilami okresy tężyzny dziennikarskiej, a jeszcze większe w Warszawie, która wydała kilku niepospolitych władców słowa i kunsztu, mistrzów ukrywania idei między wierszami.

Rozdarcie kordonów spowodowało przeobrażenia i przesunięcie się punktu ciężkości ku Warszawie, ongi najbardziej gnębionej, ale nie unicestwiło znaczenia posterunków czy krakowskiego, czy poznańskiego, czy lwowskiego. Jeżeli tedy nakleja się etykietę „prowin-

cjonalny", to należy ją rozumieć niekoniecznie jako określenie, oznaczające pozycję pisma, ale w znaczeniu czysto topograficznym lub geograficznym. I w innych cywilizowanych krajach duże trybuny dziennikarskie rozbijają namioty nie zawsze w stolicy, owszem z rozmaitych punktów państwa rzucają ważki głos na szalę wypadków.

Polska znajduje się w szczególnem położeniu, w niej poniekąd rozpoczyna się dla prasy dzień stworzenia, a będzie on i dniem zwycięstwa oszałamiającego, gdy szkolnictwo powszechne zaorze twardą grudę dotychczasowych zaniedbań, wdrze się do głuchego i deskami zabitego świata. Wówczas, buchnie wielki płomień z naszej ziemi, wówczas gazeta będzie ową lampą Aladyna, która odsłoni skarby, drzemiące w duszach.

Stan obecny nie jest pocieszający, ale z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, poprawa widoczna, pęd ku rozrostowi niezaprzeczony.

Na kresach wschodnich były w 1923 r. w województwie białostockiem dwa dzienniki, w bieżącym roku jest ich trzynaście, w województwie poleskiem od czterech lat trzymają się trzy codzienne pisma, w stanisławowskiem siedem. W lwowskiem spadła liczba placówek prasowych z dwunastu dzienników (1923 r.) do dziesięciu. Wołyń miał i ma dwie. W Wileńszczyźnie stan posiadania zmalał z pięciu gazet (r. 1923) do czterech. Natomiast na zachodzie, a więc na obszarze ugrunтовanej oświaty, nastąpił rozkwit imponujący. Na Pomorzu potroiła się liczba dzienników w porówna-

niu z 1923 r. i obejmuje już trzydzieści dwie jednostki; w Poznańskim z dwudziestu wzrosła do cyfry pięćdziesięciu sześciu. Daty te z okrajów naszych świadczą, że pochod cywilizacji jest pochodem tryumfalnym prasy. Nie bez pewnej troski zauważyć można topnienie lekkie wydawnictw w Krakowskim, gdzie ilość dzienników w okresie od 1923—1924 r. skurczyła się z *pięćdziesięciu* do ośmiu lub w Łuckim, z dwudziestu do sześćnastu. Objawy te mogą także oznaczać pewne ozdrowienie stosunków, pewną ucieczkę od rozbijałego przerostu, od rozdęcia, wywołanego gorączką pierwszych lat wolności. Natomiast w Kieleckim zwiększyła się liczba wydawnictw codziennych wdwójnasób i podskoczyła z pięciu na dziesięć.

Na całej przestrzeni Rzeczypospolitej wychodzi 160 dzienników polskich, a ze stołecznymi 174. Przypuszczalny ich nakład dzienny nie przekracza 900.000 egzemplarzy, zatem cyfrę znikomo drobną w stosunku do gęstości zaludnienia i obszaru Państwa, zwłaszcza w porównaniu z nakładami pism zagranicą. Wydanie niedzielne „New York Times” obejmuje około 26 stron druku, a jedna strona ogłoszeń kosztuje w niem 12.000 — 20.000 dol. Angielska „Daily Mail” bije 1.532.000 egzemplarzy, nakład zaś wielkiego dziennika francuskiego, np. „Matin”, przewyższa zbiorową ilość nakładu wszystkich dzienników Rzeczypospolitej. W małej Finlandji wychodziło w 1923 r. aż 136 dzienników, z tych cztery w Helsingforsie były po czterdzieści tysięcy egzemplarzy. Imponujące rozmiarami gazety szwedzkie mają nawet na prowincji, np. w Göteborgu,



po 100.000 abonentów. Ogromny odskok od stanu rzeczy, panującego u nas a na dalekiej północy czy zachodzie, nie powinien przerażać wobec nieprzerwanego bytu krajów szczęśliwych, wobec naszej kaźni przez lat dziesiątki i więzienia ludności w mrokach ciemnoty.

Ujawnienie kontrastów było niezbędnością, celem zrozumienia położenia prasy prowincjonalnej w ścisłym znaczeniu słowa. Jest ono dość trudne i wyboiste.

Na szpaltach pism naszych toczy się od dość dawna polemika na temat, czy gazety pozastołeczne zrozumiały dostateczne swoje przeznaczenie. Jeszcze w 1907 r. stwierdził p. Stefan Gorski w „Tygodniku Ilustrowanym”, że typ pisma prowincjonalnego uległ zupełnemu przekształceniu. Pierzchno przed polityką zainteresowanie dla miejscowych zagadnień społecznych. Z polityki żyją gazety, dla niej powstają. Ulotniły się ze szpalt korespondencje z małych osad i wsi, rejestrowanie wydarzeń, dotyczących dobrobytu ludu, jego zwyczajów i gospodarki gminnej. Zginęły już organy — biadał spostrzegacz — w których znajdowały gościnę „bociany z nad Drwęcy”, — „ławnicy z nad Bugu”, — „obywatele z nad Prosną”.

Obecny przedstawiciel Polskiej Agencji Telegraficznej w Rzymie, p. Leon Chrzanowski, wytknął w „Widnokręgach” (Nr. 22 r. 1914) prasie prowincjonalnej „niewyzyskanie terenu operacyjnego”, kopjowanie stolicy i to bez powodzenia, albowiem nie mogąc dorównać wielkiej współzawodnicze, schodzi na zbocza dziennikarstwa drugiej klasy...

W „Myśli Narodowej” (2 stycznia 1926 r.) mniemał p. A. Troczewski, że koło Warszawy prześlizgują się zaledwie nastroje prowincji. O ile zaś pragnie je pochwycić, notuje ubocznie sensacje lub podrzędności. Głos ten nie pozostał bez echa.

W odpowiedzi („Myśl Narodowa”, 16 stycznia 1926 r.) zaznaczył p. Wakar, redaktor „Samorządu”, na podstawie śledzenia organów prowincjonalnych, że zawierają skąpe tylko wiadomości lokalne. Chcąc zdobyć pożądane wyjaśnienia, musiał ratować się korespondencją prywatną, sięgać do protokołów Sejmików, Rad Miejskich i Gminnych, czerpać ze sprawozdań zrzeszeń, instytucyj i t. d. „Natomiast prasa prowincjonalna, jak stwierdziłem, żywi się przeważnie, nieraz całkowicie, stołeczną”.

„Kurjer Poznański” (12 maj, 1927 r.) poruszył inną bolączkę. Oto dziennikarstwo na prowincji pcha się do głównych ośrodków, a zwłaszcza na Górnym Śląsku do Katowic, i zostawia na partykularzu wolną rękę prasie niemieckiej pod opieką „Volksbundu”. Aczkolwiek Królewska Huta jest osiedlem znacznie bardziej polskiem, niż Katowice, wychodzi tam i rozcodzi się w dużym nakładzie „Oberschlesischer Kurrier”. Wyniki podobnych spacerów i zaniedbań dały się we znaki podczas ostatnich wyborów do rad miejskich i gminnych. Prastara Pszczyna i Tarnowskie Góry, obie gniazdowe środowiska polskie, nie mają własnej gazetki ze szkodą dla myśli państwowej.

Na tle wzajemnego przekomarzania się wynikły

zadrażnienia między prasą stołeczną a jej koleżanką z prowincji.

„Gazeta Kielecka” (z dnia 3 marca 1927 r.) nie omieszczała dać im wyrazu, nawymyślawszy metropolji i jej mirażom. Z rozpędem niepohamowanym zaryzykowano opinią, że 80% prasy stołecznej „reprezentuje odłamy mafij politycznych i, chodząc na pasku partyjnym, mówi, co jej każą”. Z Kielc ciśnięto gromy i wielką klątwę na Warszawę za rozmazywanie sensacji, kradzieży, buntów i wyrzucanie niemal za nawias ruchu zrzeszeń lub obchodzenia się z nim po macoszemu. Dla autora zacierzewanego stolica niesie dary Danajskie, fox-trotty, charlestony, kabarety, naszpikowane programem pornograficznym, popisy magików, wróżbitów i rozpasanie zatańczonej młodzieży. Notatki w rubryce z „Kraju” są najlepszym udokumentowaniem, jak się patrzy z wyżyn na prowincję. Kradzieże, samobójstwa, cała gehenna życia, odbija się w nich w karykaturalnych rozmiarach, niby w zwierciadle krzywo nastawionem.

W różnych okresach czasu i inne redakcje wylewały gorycz z powodu ustosunkowania się prasy warszawskiej do prowincjonalnej. Czynił to „Dziennik Kujawski” (15 września 1918 r.), czyniła „Gazeta Kaliska”. Ostatnia nawet wyostrzyła brzytwę i postanowiła zaimponować ciekawym szczegółem. Oto, w pasji nieliczenia się z odgłosami dziennikarstwa prowincjonalnego, rozpowszechniono w Warszawie wiadomość o projekcie budowy kolei z Lubońca do Plesze-

wa, podaną w nadmienionem piśmie dopiero dzięki korespondentowi Agencji Wschodniej z Krakowa.

Tak więc tyraljerka roztwarła się na całej linii, spory przewijały się zygzakiem błyskawicy wśród burzliwych i ciężkich nastrojów wewnętrznych. „Kurjer Częstochowski” (22 września 1920 r.) szarpnął nawet za strunę odruchowej skargi. Zdaniem tego dziennika, ponosi winę za mało pocieszający stan prasy prowincjonalnej dane środowisko, skamieniałe w obojętności. Aby mieć dobre gazety, należy dbać o nie i nie ograniczać się tylko do abonowania, ale współdziałać z redakcją przez nadsyłanie wiadomości, spostrzeżeń, uwag. Jednakże zaledwie wyjątki doceniają syzyfowe prace w piśmie, reszta zaś wzrusza ramionami i przechodzi obojętnie obok wszelkich trudności.

Rozpadnięcie się na dwa obozy, na „my” i „wy”, nie jest bynajmniej pożądanym i zdrowym objawem. Zwłaszcza, że po stronie prowincji są dowody dobrej, uczciwej woli, nie zawsze ukoronowanej odpowiednim wykonaniem.

Zaraz, w początkach państwowości polskiej, w 1918 r., objeżdżał szef biura prasowego przy prezydium Rady Ministrów, p. Wojciech Baranowski, połacie bliższe i dalsze b. Królestwa i przekonał się, że znaczna większość prasy prowincjonalnej hołduje zdrowym tendencjom państwowym i społecznym. Dużo gorzej przedstawiała się strona organizacyjno-moralna bytu. „Prasa prowincjonalna — oto mniemanie wytrawnego fachowca — stała się walorem cennym, któ-

rego kurs należy podnieść w interesie ojczystego zdrowia”.

Z tej wymiany zdań, niekiedy kanciastej i szorstkiej, wyłoniła się świadomość, że błędy i wady są poważne, ale i zamierzenia uczciwe.

W pogoni za wyznaczeniem prasy na prowincji odpowiedniej roli, przeważało przekonanie, że powinna ona terytorjalnie zacieśnić się i objąć rząd dusz nad pewną ograniczoną przestrzenią.

„Kurjer Warszawski” (z d. 10 marca r. 1920) zauważył, że rozwarły się przed nią dalekie widnokreśli służenia swoim obrębom, a przez to państwu własnemu.

Niewychodzący już „Głos Warszawski”, jeszcze przed wojną (w d. 9 stycznia r. 1912) wskazywał jako jej cel przewodni budzenie i organizację życia miejscowego, obronę jego potrzeb.

PP. Chrzanowski, Wakar i inni, kładli nacisk na lokalny charakter prasy prowincjonalnej, na niezbedność wypełnienia przez nią luk i pustek, nieobjętych sferą zainteresowań dziennikarstwa stołecznego.

Z ich zdaniem pokrywa się opinia wybitnego znawcy przedmiotu, p. Aleksandra Patkowskiego, który z powodu dyskusji na temat t. zw. wydawnictw regionalnych, wyraził się:

„Czasopisma prowincjonalne muszą wejść we wszystkie komórki życia prowincjonalnego, przenikać duszę dzisiejszych ludzi, reagować mocno i odważnie na każdy przejaw życia, dostrzedz głębszą treść pod

pozorną szarżą i mieć program"... („Kurjer Wileński" z d. 30 września r. 1926).

„Wejść we wszystkie komórki życia", — niepodobna znaleźć oznaczenia dosadniejszego. Gdy zaś ono połączy się z definicją Lassalle'a o powołaniu prasowca, to znajdzie się cała miara i zrozumienie czci-godnych obowiązków, ciężących na kierownikach redakcyjnych. W pamiętnikach swoich przeciwstawia słynny socjalista dziennikarza lekarzowi lub inżynierowi, jako ludziom spieniężającym wiedzę, gdy on pracuje, popychany siłą bożą, drzemącą w jego sercu. Możeby dziś przeprowadził Lassalle poprawki w swoim określeniu, lecz nie mógłby zmienić twierdzenia, że „siła boża", więc natchnienie, powołanie, zapal, mogą jedynie przyczynić się do rzetelnego apostołstwa, do narzucenia powszechności wiary w pracę dziennikarza. Żaden Rabagas nie potrafi długo utrzymać się na koturnie, natomiast cuda wywołuje pewność i czystość postannictwa.

Rola prasy w podnoszeniu życia umysłowego i społecznego na prowincji jest wprost olbrzymia. Wykonuje ją też pod postacią wielokrotną. U nas musi się także podejmować zadań filologa, naukowca. Wobec narostów niemieckich na pniu polskim, wobec konieczności oczyszczenia języka i wykarczowania brzydkich naleciałości, winna stać na straży mowy, owego skarbu przecennego. Kto przebiegał nadgraniczne kręgi Poznańskiego i Pomorza, od chodzieskiej rubieży przez Chojnice do Kaszubskich brzegów, zrozumie, że dziennikarstwo kładzie podwaliny pod odniemczenie

językowe, że idzie po pomoście słowa w głębie odczuć ludzkich. Pod tym względem przypomina mocno sztygara czy górnika, który przebija grube opony skalne, aby się dostać do pokładów. A zadanie to pierwszorzędne, odpowiedzialność kapitalna, gdyż język był i będzie cementem, łączącym jednostki w gromady.

Z chwilą przydzielenia do ziem etnograficznie polskich okrajów historycznych, jak grodów czerwieskich, wileńszczyzny, połaci białoruskich i ukraińskich, spadł na prasę prowincjonalną obowiązek przedstawicielstwa naszej kultury i cywilizacji. Mimowoli nasuwają się obrazy ze złotego okresu Jagiellońskiego, gdy mocarstwowość Rzeczypospolitej opierała się nie tylko na potędze materialnej, ale i na świetnym promieniowaniu umysłowości polskiej. Owi Orzechowscy, owi wszyscy hołdownicy znanego kanonu „*natione polonus, gente Ruthenus*”, wyrosli w cichej lub głośniejszej adoracji dla majestatu wiedzy narodowej, uświetnionej nazwiskami Oczki, Wojciecha z Brudzewa, Kopernika.

Jeżeli tedy mamy odnieść na wschodzie generalne zwycięstwo, to nie wpędzi go nam w ramiona ani pięść administratora, ani twarda ustawa, ani Temida z przewiązanymi oczami, ale nauczyciel i dziennikarz, owi Cyryl i Metody polskości o wielkiem sumieniu i wielkich porywach.

Rzeczą prasy prowincjonalnej jest popierać każde zamierzenie oświatowe, albowiem przenikanie do dusz jest naczelnem wymaganiem chwili. Tymczasem szmermel polityczny rozpiera się wszechwładnie kosztem kultury i wychowania społecznego. Tu, ma

dziennikarz warsztat znakomity. Niech zatem poprze albo obcą inicjatywę, albo wystąpi z własną. A jeżeli jego dążenia są zdrowe, jeżeli mają ręce i nogi, jak mówi Niemiec, nie powinien cofać się wobec wyrastającego wału trudności, owszem trwać należy na szan-
cu niezłomnie. Wtenczas będzie pedagogiem społecznym, wpłynie na ulepszenie otoczenia, na hartowanie charakterów i podniesienie poziomu obywatelskiego. Jakież olbrzymie, ugorem zalegające pola, roztaczają się przed nim w kraju o niewyrobionych dostatecznie formach życia, stosunku człowieka do człowieka, o tradycjach, nie zawsze dających się pogodzić z dzisiejszością. Dziennikarz na prowincji może się stać współtwórcą historii, a praca jego drożdżami, przyspieszającymi dojrzenie narodowe. Prelekcje, popieranie czytelników, propaganda literatury, zwalczanie alkoholizmu, złych nałogów, rozpalenie boju z ciemnotą, znachorstwem i służenie szkolnictwu, wnikanie we „wszystkie komórki życia”, to obszar zadań niesłychanie rozległy, prawie bezkresny.

Niezmiernie ważną pozycją w prasie prowincjonalnej jest feljeton. Tu, regionalizm w doborze rzeczy odpowiednich, winien mieć pełne zastosowanie ze względu na znaczne odskoki uświadczenia w różnych dzielnicach. Chociaż Pomorze i Śląsk opierają się na solidnych podstawach kultury, nowością dla nich jest poniekąd nasza dawniejsza twórczość, dlatego przedruki są bardzo pożądane. Z ich pomocą należy nadsztukować przerwę, jaką mieli ziomkowie, oderwani od swojskiego pnia, zamknięci w orbicie innej myśli.

Zwłaszcza opisy historyczne mogą mieć znaczenie poważne, bo kto raz uderzył pokłonem przed przeszłością, uchyli czoła i przed teraźniejszością.

Nie trzeba zapominać, że dzisiejsza ludzkość, zezarpana latami wojny, zniechęcona, z osłabionymi nerwami i żadna używania, odwróciła się od książki. Gazeta, łatwo strawna, jest dla niej często wszystkim i literaturą i skarbczykiem z zakresu wiadomości ekonomicznych, czarodziejką, mogącą czytelnika przykuć do siebie, wziąć jego wyobraźnię w pacht i uczynić ze skaptowanego poniewolne narzędzie.

To są możliwości najwspanialsze, jakie tylko pomyśleć się dadzą, to naprawdę potęga ziemiska ogromnego znaczenia. Mając w dłoniach klucz do podobnego Sezamu, może prasa na prowincji przeprowadzić organizację umysłową prawie w każdej dziedzinie, może przyczynić się nadzwyczajnie do przyspieszenia tempa rozwoju narodu.

Te same uwagi odnoszą się do rozbudowy życia społecznego.

Powstała nowa administracja, samorządy, sądownictwo. Ludność wzięła na barki swoje odpowiedzialność za rządy i zdobyła trybunę w postaci sejmików i sejmu. Gazety muszą być regulatorem rozbudzonego ruchu, aby się zbyt nie rozhułał i nie przybrał postaci zbyt wybujałej, aby partykularyzm nie zamienił się w wicherzycielstwo, stojące na poprzek dobru państwa. Zatrzymaliśmy przeważnie urządzenia zaborcze, ale przecież szukamy i znajdziemy swojskie formy, odpowiadające skłonnościom ludności. Dopomóc w tem mo-

że na każdym kroku prasa, notując spostrzeżenia, skrzętnie gromadząc miejscowe materiały, których rozpatrzenie służyłoby do uszanowania właściwości terytorjalnych.

Wyobraźmy sobie podobne archiwa dziennikarskie z bliższych i dalszych zakątków. Co za cudowne laboratorium, umożliwiające kształtowanie i normowanie życia społeczeństwa!

Szczególniej na polu samorządu otwiera się dla prasy prowincjonalnej szerokie i niezaorane pole. A tu właśnie, jak stwierdził jeden z spostrzegaczy — (Patrz artykuł p. C. Rokickiego w „Samorządzie” Nr. 30), dopuszczono się zaniedbań karygodnych. Na łamach pism z głębszych, a nawet bliższych stolicy okręgów, rzadko ukazują się sprawozdania o przebiegu obrad, uchwałach sejmików i wydziałów powiatowych. O życiu gminy głucho! Jednem słowem, zaniedbania rażące, pomijanie tego, co jest pod bokiem, aby nastawić żagle na nowinki wielkomiejskie i powtarzać za panią matką z metropolji państwowej. Bez opinji zaś zakątków i zakamarków nie może się rozwijać życie kraju, a zatajanie ich działalności lub rzucenie na pastwę milczenia, oznacza zdanie całych połaci na raporty starostów, przepuszczane przez sito biurokratyczne, nie wczuwające się czasami w duszę i w ciszę licznych uwarstwień ludności.

Mądrze przeprowadzony lokalizm, nie w znaczeniu schowania się za opłotki parafji, ale w sensie złączenia się wszystkimi włóknami serca, duszy i mózgu z potrzebami środowiska, może prasę prowincjonalną

wynieść na poziomy budowniczego i poprawiacza życia.

Z rozrzewnieniem widzi się, jak w Danji różne „Amtstidende” i „Stiftstidende”, okręgowe pisemka, kwitną pod skrzydłami opieki ludności, istne zakątki jej spowiedzi. Małe troski i śmieszności, radość, gorzkie zawody, wyzierają ze szpalt i wiążą przestrzeń pewną w jedną rodzinę, wzajemnie sobą zajętą. Nikt jednak nie myśli otaczać jakiegoś skupienia chińskim murem i skazywać go na zapleśnienie. Owszem, trzeba mówić o literaturze, o rzeczach społecznych ogólniejszych, nawet o polityce, byle nie kołtuńsko.

Nareszcie raz musi zwyciężyć przeświadczenie, że gazeta na prowincji, to nie zlepek wykrawków, nożycami wyciętych z różnych pism, t. zw. „kuśnierska robota”, wykonywana bezmyślnie, bezładnie, przez człowieka, który jest czasem redaktorem, zecerem, woźnym, zbieraczem anonsów w jednej osobie, ale placówką dostojną, wymagającą przygotowania. „Pan redaktor” nadmienionego typu, powinien zniknąć najprędzej i stać się figurą komedjową, gwoli okazania go i przechowania dla potomności. Najwyższy czas skończyć z tem niechlujstwem!... Kończy z niem zwykle sama publiczność, stroniąc od świstków i szukając organów, nadchodzących z wielkich miast. Te znowu, dalekie od regionalizmu, traktują życie, zwłaszcza odleglejszej prowincji, ubocznie lub nic o niem nie wiedzą, stąd wytwarza się szkodliwa pustka i dla samej okolicy i dla całego społeczeństwa. Jeżeli nie potrafimy jeszcze dotrzeć do każdej chaty i do każdego warsztatu rzemieślni-

niczego, niech większe, ugruntowane gazety i stronic-twa zakładają ekspozytury w żywszych środowiskach, uwzględniają regionalne stosunki i przesyłają do nich stereotypy, któreby uzupełniano informacjami charakteru miejscowego. Oby szarzyzna i krawieckie partactwo raz ustąpiły sumiennej, świadomej i dobrze zorganizowanej pracy, a ustanie z pewnością lamentowanie, że ludzie nie chcą prenumerować. Zechcą, byle mieli co, nie niedołęstwo w druku, przypominające złe pierwociny dziennikarstwa.

Skąd wziąć jednak krzewicieli doniosłych zadań, współpracowników gazet? Na to dali odpowiedź praktycy za Atlantykiem. W Ann Arbor, w Stanach Zjednoczonych, odbyła się w r. 1925 konferencja uniwersyteckiego klubu prasowego. Profesor Wydziału Dziennikarskiego Wszechnicy Michigan, Burrows, domagał się od kandydata na członka redakcji nie tylko praktyki w gazecie, ale i wyższego kursu w akademickiej uczelni zawodowej, przynajmniej przez rok. Przyznał on, że czysto akademicki teoretyk dziennikarski niewielką przedstawia wartość dla wydawnictwa, ale i praktyk dziennikarski bez akademickiej teorii, cierpi na niedokrwestość szerszych pojęć i, jeżeli nie wyrządzi szkody, to z pewnością nie przyniesie pożytku.

Choćby ze względu na te światłe wskazania powinno się, zwłaszcza u nas, rozleźć głośnie wołanie: „precz z dyletantyzmem! precz z wykolejenstwem!”.

Im większe zdobędzie dziennikarz wykształcenie, tembardziej potężniejsze jego sumienie i poczucie odpowiedzialności.

Na to jedyna rada: zakładać uczelnie dziennikarskie i otoczyć najszczerszą opieką istniejącą w Warszawie Wyższą Szkołę Dziennikarską, aby z tych zakładów wychodzili na prowincję ludzie, niosący wysoko sztandar zawodu.

A warto trzymać drzewce tego proporca mocną i czystą dłonią, warto choćby dla przystosowania pamiętnego powiedzenia cesarza Konstantego na moście Mulwijskim:

„Pod tym znakiem zwyciężysz!”.



